
Blizny
Krzysztof P. Łabenda

Krzysztof P. Łabenda
„Blizny"

Copyright © by **Krzysztof P. Łabenda**, 2018
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**
Korekta: **Bożena i Janusz Sigismundowie**
Projekt okładki: **jozefklopacka – Fotolia.com**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119- 260-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
http://psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Wersja Demonstracyjna

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY 4
ROZDZIAŁ DRUGI 46
ROZDZIAŁ TRZECI 73
ROZDZIAŁ CZWARTY 82
ROZDZIAŁ PIĄTY 115
ROZDZIAŁ SZÓSTY 160
ROZDZIAŁ SIÓDMY 174
ROZDZIAŁ ÓSMY 189
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY 237

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Krzysztof Szablewski, przepełniony euforyczną radością, wcisnął mocniej pedał przyspieszenia w swoim wiśniowym fordzie mondeo. Lubił to auto i z pewnym żalem myślał o tym, że już niedługo przyjdzie mu przesiąść się do służbowej limuzyny. Miało to być, podobno, bogato wyposażone, szokujące wszelkimi możliwymi udogodnieniami i gadżetami BMW. Szablewski miał nadzieję, że rzecz nie jest jeszcze przesądzona i uda mu się wynegocjować albo prawo do użytkowania swojego prywatnego samochodu, albo zmianę marki. BMW, obojętnie w jak bardzo luksusowej wersji, uważał za samochód odpowiedni dla łysych mięśniaków, u których próżno byłoby doszukiwać się szyi i najczęściej intelektu, a także ludzi bez polotu, nowobogackich, bezrefleksyjnych wyrobników i oficjalnych, rządowych pasożytów. Podobnego zdania był też o audi. Wiedział, że nie do końca ma rację, ale nie zamierzał zmieniać tego przekonania. Nic nie można poradzić na to, że niektórzy nadal uważają, że Ziemia jest płaska, a inni, iż te dwie marki niemieckich aut są najlepsze na świecie. On nie należał ani do jednych, ani do drugich.

– Na mandat, nawet najwyższy, stać mnie bez problemu – pomyślał. – Konto punktowe mam czyste, więc nawet i dziesięć punktów tragedii nie uczyni, a świat jest taki piękny, że aż się prosi o odrobinę szaleństwa. Zresztą gdzie niby Miśki miałyby tu suszyć? Droga przez las,

żadnych zabudowań. Kręto, to fakt, ale przecież nie jestem najgorszy w te klocki. Radzę sobie za kółkiem.

Samochód natychmiast zareagował i z cichym pomrukiem silnika gwałtownie przyspieszył, zarzucając lekko tyłem na zakręcie. Droga istotnie była pusta i sucha. Doskonale oświetlona jesiennym zachodzącym słońcem. Nieodległym już celem podróży Szablewskiego był znany hotel w Mikołajkach. Tam każdego roku spotykali się na zjeździe integracyjnym pracownicy Korporacji Finansowej Walor, w której Krzysztof objął ledwie tydzień temu swoją posadę. Kiedyś, w czasach wbrew pozorom nie tak bardzo odległych, byłoby to stanowisko szefa, naczelnika czy dyrektora działu. Dziś o Szablewskim mówiono per Directeur Général Adjoin. Po francusku, w języku jego pracodawcy, brzmiało to zdecydowanie dumniej i bardziej poważnie. Podlegać mu miały, a właściwie to już podlegały, sprawy związane z kredytami.

Powodem radości przepełniającej Krzysztofa była nie tylko nowa posada, którą uważał za ważny krok w swojej zawodowej karierze. W bagażniku forda leżało kilka egzemplarzy jego najnowszej powieści. „Lśnienie Księżyca" było jego drugą książką. Pierwsza: „Byłaś tu", przeszła praktycznie bez echa. Ta druga, napisana i wydana po upływie kilku lat od premiery pierwszej, okazała się strzałem w dziesiątkę. Krzysztof nie zmarnował tych lat. Wiele się nauczył, nabrał pokory. Teraz rozumiał, że pisząc i wydając „Byłaś tu" był zbyt młody, zwłaszcza emocjonalnie. Gdyby wówczas, po jej opublikowaniu, wydarzyło się to, co działo się teraz, Szablewski zmarnowałby swoją szansę. Nie byłby w stanie napisać już niczego, co spotkałoby się z dużym zainteresowaniem odbiorców. Woda

sodowa nie tylko uderzyłaby mu do głowy, ale zalałaby go kompletnie, utopiła. Zmarnowałby bezapelacyjnie to, co mu los ofiarował – cudowne poczucie radości, ale i pewien ból związany z tworzeniem, zdecydowanie większą pewność siebie, przekonanie o własnej wartości, jakie dawał odniesiony sukces. Pewnie przepiłby to lub roztrwonił w gonitwach za chwilową popularnością i kolejnymi, pustymi i łatwymi kobietami. Teraz mu to już nie groziło. Jakkolwiek śmiesznie by to zabrzmiało, stał się poukładanym, ustatkowanym facetem. „Lśnienie Księżyca" nie tylko że zebrało bardzo pochlebne recenzje, to jeszcze przebojem wtargnęło na listę bestsellerów i wydawnictwo właśnie zaproponowało mu dodruk pokaźnej liczby egzemplarzy. Warunki finansowe, jakie przy okazji wynegocjował, były więcej niż dobre. Kiedy pisał „Lśnienie Księżyca", czuł, że będzie to poczytna książka. Nie przypuszczał jednak, że aż tak. To nie miała być i nie była książka pełna skomplikowanych problemów egzystencjalnych. To była powieść o miłości, jaka się może przy odrobinie szczęścia przytrafić każdemu i o tym, że nic, a zwłaszcza wielka miłość, nie jest dane nikomu raz na zawsze. Snując wówczas tę swoją opowieść, czując przepełniającą go radość, przeczuwał, że pisanie może stać się wcześniej czy później jego najważniejszą pasją, sposobem na życie. To, co się działo teraz wokół niego i wokół książki, umacniało go tylko w tym przeświadczeniu.

Rozpierająca go radość miała jeszcze jedno, bodaj czy nie najważniejsze w tej chwili, źródło. Na imię miała Sabina, choć wolała, by mówić jej Nicole. Poznał ją ledwie kilka dni temu na lotnisku Roissy-Charles de Gaulle, kiedy zakończywszy rozmowy ze swoim obecnym pracodawcą

wracał do Polski. Siedział, zatopiony w lekturze gazety, na tyle wygodnie, na ile pozwalał na to lotniskowy fotelik. Przed nim na blacie niewielkiego stolika stała mocno oszroniona butelka niegazowanej wody mineralnej. Była bardzo zimna, choć kupił ją w automacie, toteż pił niewielkimi łykami w obawie, że przeziębi sobie gardło. Nie mógł sobie pozwolić na to, by nową pracę, którą zdobył nie bez wysiłku, zaczynać od zwolnienia lekarskiego.

– Przepraszam, czy mógłby może pan rozmienić mi pięćdziesiąt euro? Nie mam, niestety, drobnych do automatu, a do baru jest koszmarna kolejka.

Odłożył gazetę i uniósł wzrok. Przed nim stała niewielka blondynka ubrana w dżinsy i miękką tunikę z krótkim rękawem, która była co prawda dopasowana w piersiach i talii, ale rozszerzała się na biodrach. Krzysztof powiedziałby, że tunika była kremowa, choć zapewne dziewczyna znalazłaby na opisanie tego koloru setki innych określeń. Do tego te obłędnie, a jakże!, błękitne, roziskrzone oczy. Była, co tu dużo kryć, zachwycająca. Krzysztof posłał jej, co czynił niezmiernie rzadko, szeroki uśmiech. Jej francuski był bezbłędny, choć – jak się niebawem okazało – dziewczyna była Polką.

– Niestety, nie mam tylu drobnych. Ale zostało mi w bilonie jakieś pięć euro i chętnie je pani pożyczę. Co ja gadam, chętnie postawię pani tę kawę, wodę, herbatę, batonika czy na co tam ma pani ochotę – paplał jak najęty, modląc się w duchu, by dziewczyna jeszcze nie odchodziła.

– Bardzo pan miły. Dziękuję.

Przyjęła ofiarowane jej monety i kołysząc lekko biodrami, powędrowała w kierunku automatu z kawą.

Wróciła po chwili. Usadowiła się na wprost i wlepiła w niego te swoje duże błękitne oczy. Niesforny pukiel włosów opadł jej na lewą powiekę i zapewne przesłonił nieco widok. Dmuchnęła w niego, lekko wykrzywiając usta ku górze. Kosmyk uniósł się na chwilę leciutko, rozdzielając przy tym na pojedyncze włoski, by – kiedy tylko siła jej oddechu zniknęła – opaść dokładnie w to samo miejsce. Próbowała jeszcze ratować się przechyleniem głowy, ale nie zdało się to na wiele i wyraźnie przeszkadzało w piciu kawy.

– Głupie włosy. Powinnam postarać się o jakąś spinkę. Nicole – przedstawiła się.

– Krzysztof. A włosy nie są głupie, tylko urocze. A to ich opadanie może kiedyś uratować pani wzrok.

– Aha. A kiedyż to, w jakich okolicznościach?

– Na przykład na śnieżnej pustyni, kiedy zgubi pani gogle. Słońce odbite od śniegu potrafi być tak jaskrawe, że uszkadza wzrok.

– Widzi pan tu gdzieś śnieżną pustynię?

– Przepraszam, plotę bez sensu.

– Dlaczego. Fajnie się gada. Dużo pan zna takich historyjek i życiowych mądrości?

Przegadali ze sobą cały, zdaniem Krzysztofa zbyt krótki, lot z Paryża do Warszawy. Mówił, a raczej plótł, głównie on. Zdołał się jednakże dowiedzieć, że dziewczyna sporo czasu spędziła w Paryżu, a Nicole, jej zdaniem, brzmi lepiej, jest bardziej francuskie. Co ważniejsze, wymienili się numerami telefonów, a Sabina obiecała, że pójdzie z nim na kawę, pod warunkiem że tym razem to ona mu ją postawi.

– No, Krzyśku – mruknął sam do siebie. – Gdybyś był bohaterem własnej powieści, to co powiedziałbyś w takiej chwili?

– Jestem jeszcze dość młodym, sprawnym, w miarę atrakcyjnym fizycznie mężczyzną, pachnę sukcesem, a pieniądze nie są dla mnie żadnym istotnym problemem – wypowiedział półgłosem zdanie, które mógłby wygłosić bohater jego książki. Nie ma więc żadnego powodu – kontynuował – bym nie mógł sobie pozwolić na odrobinę szalonej jazdy na pustej mazurskiej drodze. Te mijane od czasu do czasu krzyże, ślady po tych, którzy nie mieli szczęścia lub dostatecznie wysokich umiejętności nie są w stanie mnie przestraszyć.

Z samochodowego radia ustawionego tak, by grało głośniej po przekroczeniu stu kilometrów na godzinę, popłynęło *Somewhere Over the Rainbow* w wykonaniu Judy Garland, nadawane akurat przez jego ulubioną stację grającą przez całą dobę najlepszą muzykę filmową i klasyczną. Tej melodii, zwłaszcza w tym wykonaniu, które Krzysztof uważał za bezapelacyjnie najlepsze, nie powinno się jednak, zdaniem Szablewskiego, słuchać zbyt głośno. Pryskał wówczas cały jej czar. Cóż, komputer pokładowy nie miał zdolności do rozróżniania muzyki. Działał według prostego schematu: szybciej równa się głośniej.

Stali przed jednym z zakrętów, na końcu długiego prostego odcinka, który wręcz prowokował do nieco szybszej jazdy. To „nieco" w przypadku Krzysztofa oznaczało niemalże siedemdziesiąt kilometrów na godzinę ponad dozwoloną normę.

– Peszek – pomyślał, wciskając pedał hamulca. – Żegnaj dziewiczo czyste konto punktowe.

– Dzień dobry, panie kierowco. Ruch drogowy Olsztyn, sierżant Kluska – przedstawił się policjant. – Prawo jazdy, dowód rejestracyjny, dowód ubezpieczenia i dowód osobisty, jeśli pan posiada, poproszę.

– Nie tyle posiada, co ma – mruknął nieco poirytowany Krzysztof.

– Słucham? – sierżant Kluska podniósł głos. – Chciał pan coś powiedzieć? Dokąd to, panie Krzysztofie, tak pan gna? – zapytał, spojrzawszy we wręczone mu dokumenty.

Szablewski nie cierpiał tego poufałego tonu, z którym spotykał się każdorazowo podczas kontroli drogowych. Te nie były na szczęście w jego przypadku zbyt częste. Jednakże programy telewizyjne o pracy policjantów z drogówki nie pozostawiały najmniejszych złudzeń. Ten typ tak miał. Oni wszyscy i do wszystkich zwracali się w ten sposób. Zapewne chcieli być mili, a może szkolono ich, by w ten sposób, już na początku, dawali odczuć kontrolowanemu swoją przewagę? W opinii Krzysztofa byli tylko irytujący. Nie chciał się z nimi zaprzyjaźniać, nie oczekiwał, że osłodzą mu w jakikolwiek sposób to, iż za chwilę zubożeje o pokaźną kwotę, na jaką zapewne będzie opiewał mandat. Zasłużył przecież. Zdecydowanie wolałby to ich „panie kierowco" od tego „panie Krzysztofie" lub by zwracali się do niego po nazwisku. Dalej było równie rutynowo. Projekcja nagrania z policyjnego wideorejestratora, informacja o prawie do odmowy przyjęcia mandatu. Potem to standardowe: – Proszę podpisać, o tu, czytelnie. Mocno przyciskać, bo to druk bezkalkowy.

– Mam to podpisać czy wpisać czytelnie nazwisko?

– O co panu chodzi?

– W sumie to o nic. Albo podpis, albo czytelnie napisane nazwisko, bo podpis mogę mieć niekoniecznie czytelny. Podobnie jak z tym panów „za powyższe wykroczenie ustawodawca przewidział…". Nie ustawodawca, tylko prawodawca, ale przecież to bez znaczenia.

– Panie Krzysztofie!

– Tak, wiem. Panowie tacy mili, a ja marudzę. Przepraszam. Pojadę już sobie, jeśli wolno.

– Szerokiej drogi. I wolniej, panie kierowco, dużo wolniej!

Pouczony na pożegnanie o tym, że nawet fordy mondeo nie mogą ani w tym miejscu, ani gdziekolwiek indziej latać tak nisko, lżejszy o pięćset złotych, czyli ledwie marny procent jego nowych poborów brutto i z dziesięcioma punktami karnymi, ale ciągle w doskonałym humorze, Szablewski ruszył w dalszą drogę. Straciwszy z oczu patrol, który go zatrzymał, znów mocno przyspieszył.

– Piorun raczej nie uderza dwa razy w to samo miejsce – pomyślał. Kaskadowe kontrole drogowe są też ciągle jedynie w sferze zapowiedzi.

W swojej nowej firmie nie znał właściwie nikogo. Wiedział oczywiście, kto jest kim w zarządzie, ale nie potrafił o tych ludziach powiedzieć niczego więcej. Z jednym wyjątkiem. Szefem finansów w Walorze był Janek Kulesza. Obaj chodzili kiedyś do równoległych klas w tym samym liceum. Teraz to właśnie Janek witał go przy recepcji, oferując powitalnego drinka i swoją pomoc w poznawaniu nie tyle nowego miejsca pracy, co ludzi w Walorze funkcjonujących. Kolega z dawnych lat nie wyglądał zbyt dobrze. Matowa cera, mocno przerzedzone włosy, spocone

czoło i kark, a zapewne i tors ukryty pod nieco wymiętą, czarną, jedwabną koszulą, która dość dobrze maskowała plamy potu. To wszystko sprawiało, że Kulesza, będąc jak Szablewski, mężczyzną po trzydziestce wyglądał, jakby przekroczył już pięćdziesiątkę.

– Nie gap się tak na mnie, człowieku sukcesu – warknął. – Wiem, jak wyglądam. Chory jestem. Cukrzyca.

Biorąc pod uwagę dość charakterystyczne, nieco spowolnione ruchy Janka i wolne, momentami przesadnie dokładne wymawianie poszczególnych słów, zamglony wzrok i opadające co i rusz powieki, nie był to jego pierwszy drink tego dnia.

– Cukrzyca? To raczej z gorzałką nie chodzi w parze.

– Bym zwariował, jakbym od czasu do czasu nie wrzucił sobie na luz i nie zapomniał. Żyje się tylko raz.

– Twoje życie, twój wybór, ale jak się to ma, to chorym jest się i w czwartek, i w poniedziałek czy środę, a także wtorek, piątek i niedzielę. W sobotę też. Zawsze. Ty, jak widzę grzejesz całkiem nieźle i chyba to lubisz. Nie powinieneś o tym zapominać, bo inaczej to cię kiedyś zabije.

– Stary – Janek klepnął protekcjonalnie Krzysztofa po ramieniu – nie marudź. Lekarz faktycznie mi mówił, że jak nie przystopuję, to mnie to zabije, ale nie powiedział kiedy. Pamiętasz, co mówił świętej pamięci Gienio Śliwka? – „Trzeba płonąć jak świeca, mocnym płomieniem, a nie tlić się byle jak". Intensywnie, nawet, jeśli to znaczy krótko. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że dołączyłeś do drużyny.

– Twoja wątroba też tak uważa?

– Wiesz, jak o mnie mówią? Kulesza nie miesza. Piję tylko whisky, to i wątroba ma lżej – nie musi się co i rusz przestawiać.

– Osobliwa teoria dbania o wątrobę. W kwestii życia to wolałbym jednak długo, możliwie najdłużej, ale ja też się cieszę i z naszego spotkania, i z tego, że popracujemy razem.

– No, myślę. Warunki, jak ćwierkają wróble, wynegocjowałeś super, ale o tym oczywiście sza! Tajemnica firmy. Oficjalnie nikt tu nie wie, jaką kasę biorą inni. Chodź, usiądziemy gdzieś blisko baru i pogadamy. Na tyle, na ile mogę, powiem ci co i jak, kto jest kim, z kim warto się liczyć, a kogo będziesz mógł olać. Mówię ci – perorował Janek – trzymajmy się razem, a nikt nam tu nie podskoczy!

– Może zacznijmy od tego, że się trochę przymkniesz? Gadasz tak głośno, że pewnie cię słychać na piętrach. Wszystko, co możesz i chcesz mi powiedzieć, powiedz tylko mnie, a nie przy okazji połowie ludzi, którzy tu przybyli. W razie kłopotów nie wszystko da się zwalić na gorzałkę i stan pomroczności jasnej. To chyba wiesz i beze mnie?

– Masz rację, brachu, ale tak się cieszę!

Głębokie fotele, w które wkrótce zapadli, pozwalały na doskonałą obserwację napływających nieprzerwanym strumieniem uczestników imprezy. Tłoczyli się wokół recepcji, pokrzykiwali, rzucali się sobie w ramiona. Kipieli radością, energią. Po wielu z nich było widać, że zdążyli już sporo wypić podczas podróży.

– Nie masz wrażenia, że całe to towarzystwo do złudzenia przypomina stado antylop gnu tłoczących się gdzieś na równinie Serengeti? – zapytał Krzysztof, unosząc leniwie szklaneczkę, w której dwie kostki lodu kąpały się w jego ulubionej, dwudziestopięcioletniej whisky Chivas Regal. Hotelowy bar życzył sobie za nią sporo pieniędzy, ale Krzysztof nie dbał o to. Teraz było go na to stać.

– Poczekaj, kiedy ruszy hawajski wieczór, wtedy zobaczysz antylopy i smukłe gazele, wiele gazeli, nimfy i rusałki i co tam tylko zechcesz. Niektóre z nich pozbyły się obrączek jeszcze w autobusie, inne zrobią to niechybnie w pokoju hotelowym. Podobnie zresztą, jak i spora grupa facetów. Nie wszyscy, oczywiście, ale wystarczająco dużo, by było w czym wybierać.

– Nie poluje się na własnym podwórku.

– To dewiza dla nieostrożnych głupców. Nie wiadomo ilu facetów z tych pozostałych w domu, kiedy ich żony tu szaleją, myśli, że to rozkoszne bobo niedające im spać, to ich dzieło. Jak to mawiali starożytni? – *Mater semper certa est*. Pewność masz tylko co do tego, kto jest matką. Statystyka zaś mówi, że co dziesiąty facet wychowuje nie swoje dziecko.

– W dzisiejszych zwariowanych czasach i ten aksjomat, że matka zawsze pewna jest, da się zakwestionować. Hawajski wieczór, powiadasz? A cóż to za imprezka?

– Ach, bo ty pewnie jeszcze nie wszystko kojarzysz. Teraz całe to towarzystwo się zakwateruje. Ci, którzy jeszcze nie zdążyli się napić, zrobią to za chwilę w pokojach. Bar zacznie na nich zarabiać dopiero późną nocą, kiedy wypiją własne zapasy. Później, jak każdego roku, zgoni się całe tałatajstwo na jakąś łąkę czy polankę do wspólnego zdjęcia. Taka tu doroczna tradycja i lepiej jej nie unikać. Szef spędzi wiele czasu na analizie tego zdjęcia i odnotuje z pewnością nieobecność każdego, kto się choć trochę liczy w firmie. Nawet gdyby tego nie chciał, to inni go wyręczą. Chętni do bycia jego podnóżkiem, uchem i okiem, ustawiają się w długiej kolejce i jakoś trzeba zasłużyć na łaskę władcy. Donieś, bo inaczej doniosą na ciebie, zabij lub zostaniesz

zabity. Później będzie kolacja i po niej część oficjalna. Ona ma duże znaczenie. Tu się nagradza masowo personel, zachęcając w ten sposób do wytrwałej pracy przez kolejny rok. Nagrodzonych jest dużo, a nagrody różnorodne: od zagranicznych wycieczek po książki kupione okazyjnie na przecenie. Ważne, by docenić możliwie szerokie grono i wyróżnić publicznie. Personel to lubi. Koniec tej oficjalnej części to koniec wielokrotnie i tak już złamanego zakazu picia. Do tej pory nie pili tylko ci, którzy wiedzieli, że ich poprosi się na scenę i tam wręczy nagrodę. Teraz mogą już pić i piją wszyscy, bo zaczyna się część nieoficjalna. W tym roku jest to zabawa w hotelowym aquaparku.

– Mocne. Nawalone towarzystwo baraszkujące w wodzie. Ktoś tego pilnuje?

– Spora armia ratowników. Liczą sobie słono, ale ponoć są profesjonalistami najwyższej klasy, wartymi swojej ceny, a ta – wierz mi – nie jest mała. Lepiej tego jednak nie sprawdzać.

Krzysztof z Jasiem stali przy wejściu do zespołu basenów, gdzie miał się odbyć ów hawajski wieczór. Obaj ubrani w krzykliwie kolorowe koszule, które zakupiono wcześniej dla członków zarządu. Pracownicy zaopatrywali się w stosowne stroje we własnym zakresie.

– Popatrz na tych wchodzących? Jakieś skojarzenia?

Janek przespał dwie godziny, zdążył już nieco przetrawić wypity do tej pory alkohol, a pewnie też i zażył jakiś specyfik mający postawić go na nogi i w związku z tym sprawiał zdecydowanie lepsze wrażenie niż wówczas, gdy widzieli się ostatni raz. Nie miał już tak bardzo zaczerwienionej twarzy.

– Raczej banalne. Sporo interesujących panienek, ale też i mnóstwo takich, które niezbyt dbają o swoją kondycję. Panienki i tak lepiej się prezentują niż faceci. Większość z nich, sądząc po tym, co dźwigają przed sobą, pije stanowczo za dużo piwa i chodzi zdecydowanie zbyt rzadko na siłkę.

– To też, ale ja muszę patrzeć na to inaczej.

– To znaczy?

– Co osoba, kolego, to koszt. Każde wejście tu to wydatek do zaksięgowania. Hotel liczy sobie nie za wynajem tego kompleksu, a za pobyt każdej sztuki i to z uwzględnieniem czasu. Koszt, koszt, koszt.

– Odpłakałeś to już chyba?

– Jasne, ale zboczenie zawodowe pozostaje. Zobacz, jaka laska! Z taką to warto byłoby zgrzeszyć!

– Sądząc po tym, co mi niedawno mówiłeś, nie powinieneś mieć oporów.

– No wiesz, zawsze to jakieś ryzyko.

– A jednak.

– Nawet gdybym chciał – może głupio to zabrzmi – nie wziąłem ze sobą gumek.

– Paluszek i główka to szkolna wymówka. Nie nauczyli, że prawdziwy facet ma zawsze przynajmniej jedną jako żelazny zapas w portfelu? To rzeczywiście jest dla ciebie problem? Myślisz, że w kiosku hotelowym tego nie mają? Zapytaj recepcjonistę, a on ci zaraz położy coś na kontuarze. Poszukaj lepszego wytłumaczenia lub przyznaj, że jednak szanujesz zasady i firmową etykę. Zresztą poczekaj, zaraz coś sprawdzę i wracam. Mam pewne przypuszczenia co do tej pani.

Krzysztof podszedł do dziewczyny, która tak zainteresowała Jana. Zamienił z nią kilka słów i wrócił.

– Możesz startować bez gumki. Dziewczyna jest w ciąży.

– Nie zapytałeś jej chyba o to?!

– A gdyby, to co?

– Nie żartuj! Nie mogłeś!

– Nie, nie pytałem, ale zaufaj mi. Jest w ciąży.

– Skąd niby wiesz?

– Mam taki dar – spojrzę i wiem. Wierz mi, nigdy się jeszcze nie pomyliłem.

– Ściemniasz!

– Chcesz, to wierz, nie, to nie. Mówię ci – mam dar. O widzisz tę tam? Ta to dopiero jest warta grzechu.

– Ta w tym pomarańczowym pareo?

– W rzeczy samej.

– Masz oko, tylko nie wiem, czy będziesz miał ochotę, bo sposobność zapewne tak.

– Bo?

– Panna pracuje w biurze zarządu, czyli podlega także i tobie. Mówią, że może zostać twoją asystentką.

– No to pozamiatane.

– Kto wie. Nie ty ją, to może ona ciebie? Wyglądasz całkiem, całkiem, jesteś do wzięcia, a nawet gdyby i nie, to nie ma takiego wagonu, którego nie dałoby się odczepić. Kasę masz. Do tego ten sukces literacki.

– O tym też wiesz?

– Wszyscy wiedzą!

– „Z tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz" – że zacytuję Boya-Żeleńskiego.

– Zapomniałeś, że stoimy tu w tych kretyńskich koszulach i kąpielówkach? Widać wyraźnie, że gdyby ci usiadła na wycieraczce, to na mróz byś nie wygonił.

– No nie. Fakt.

Kawę, na którą się umówili w samolocie, wypili po kilku dniach niemalże w biegu i z winy Szablewskiego, któremu w ostatniej chwili plany mocno się skomplikowały. Krzysztof nawet nie zauważył, że Sabina tak zręcznie pokierowała rozmową, że już po chwili byli umówieni na kolejne spotkanie, ale tym razem miała to być kolacja i to nie byle gdzie, bo w restauracji Ritz. Lokal usytuowany przy ulicy Szafarnia cieszył się wśród gdańszczan i nie tylko, zasłużoną renomą niewątpliwie i z tego powodu, że prowadziła go Basia Ritz – zwyciężczyni jednej z polskich edycji Master Chef – ale przede wszystkim z uwagi na serwowane tam dania. Nie można było nie dostrzec ogromu fantazji wkładanej w ich kompozycję. Smakowały także wybornie. Goście cenili sobie i panującą w lokalu atmosferę, i dyskretną, bardzo profesjonalną obsługę. W doborze win można było liczyć na radę sommelierki Mercedes. Do tego wszystkiego należało dodać jeszcze wspaniałe widoki na fragment gdańskiej starówki czy marinę i chroniące się w niej jachty. O miejsce tu nie było łatwo, ale Krzysztof, który lubił tu zajrzeć raz na jakiś czas, by zjeść doskonałego okonia morskiego w płatkach ziemniaczanych, miał tym razem sporo szczęścia.

Kiedy Sabina weszła na salę restauracyjną, wszyscy bez wyjątku skierowali wzrok w jej stronę. Była zjawiskowa. Ubrana była w pomarańczową luźną marynarkę i sukienkę w takim samym kolorze na tyle kusą, że nie trzeba było zbytniej wyobraźni, by uzmysłowić sobie, jaki widok pojawiłby się, gdyby tylko podniosła wysoko ręce. Całości dopełniały delikatne czarne sandałki na wysokiej szpilce doskonale podkreślające smukłość jej wspaniale zgrabnych nóg i mała, także czarna, kopertówka. Krzysztof poczuł

nagły przypływ dumy. Przecież ubrała się tak dla niego i przyszła tu także dla niego, a wszyscy mężczyźni, którzy gapili się teraz na nią w bardziej lub mniej bezceremonialny sposób, mogli mu tylko zazdrościć.

– Wow! – przywitał ją w niezbyt wyszukany sposób. – Wyglądasz zjawiskowo!

– Dziękuję.

Delikatny rumieniec, który pojawił się na jej twarzy, tylko podkreślił jej urodę i doskonale pasował do jej uciekającej w żółte tony kreacji.

Usiedli przy stoliku i stało się to, co dość często wydarza się w takich momentach. Zapadła niezręczna cisza. Pojawił się kelner z kartą dań, ratując w ten sposób na chwilę sytuację, ale kiedy przyjął już zamówienie i kiedy Mercedes uzgodniła z Krzysztofem, jakie wina będą im towarzyszyć do posiłku, krępująca cisza powróciła. Ta jej perfekcyjność w wyglądzie i budzące się w Krzysztofie pożądanie sprawiały, że doskonała atmosfera z pierwszej rozmowy w samolocie i z tej drugiej, przy kawie wypitej przy stoliczku w cukierni funkcjonującej w hipermarkecie na Osowej, nie chciała powrócić. Oboje czuli nienaturalne skrępowanie.

– Powiedz, proszę – Krzysztof starał się zapobiec tej nieszczególnej atmosferze – dlaczego taki wybór, dlaczego tak ci zależało na tym, by zjeść kolację właśnie tu. Cokolwiek by powiedzieć, to jednak to miejsce nie bardzo pasuje do ciebie.

– Dlaczego?

– Uraziłem? Przepraszam!

– Nie, ale nie rozumiem, niby dlaczego mam nie pasować do tego miejsca?

Koniec Wersji Demonstracyjnej